

## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Podając liczne doświadczenia, polegające na prawie bezwładności, opisywaliśmy to prawo obszernie i nie mogliśmy tego raz po raz powtarzać. Teraz jednak nowi czytelnicy,

k którzy dawniejszych roczników Pisma nie mają, i nabyć nie mogą, bo są wyczerpane, zapytują nas nieraz, jakim sposobem te doświadczenia wyjaśnić można na zasadzie naukowej. Dlatego też, nie zważając na dawniejsze opisy, szczegółowo całą rzecz przedstawiamy raz jeszcze.

Wszystkie ciała w przyrodzie są bezwładne, to jest nie mogą się poruszyć, póki ich przyczyna jaka zewnętrzna nie popchnie, w ruch nie wprawi. Nie mogą także, raz w ruch wprowadzone, zatrzymać się bez przyczyny. To się nazywa prawem bezwładności, każda zaś przyczyna, pobudzająca ciało bezwładne do ruchu, lub je zatrzymująca, nazywa się siłą. Niedosć na tem, ruch, nadany jednemu ciału, udziela się za jego pośrednictwem innym, które się z niem stykają. Gdy siedzimy w wagonie, w powozie lub łódce, sami wprawdzie nie poruszamy ani ręką, ani nogą, a jednak jesteśmy w ruchu, bo razem z wagonem, powozem lub łódką przenosimy się szybko w przestrzeni.

Łatwo bardzo przekonać się o tem dotykalnie, że pomimo pozorniej nieruchomości, znajdujemy się rzeczywiście w ruchu. W łódce szczególnie jest to najwidoczniejsze, każdy, kto tylko żeglował po rzece lub stawie, wie dobrze, jak to się trzeba mocno trzymać, aby nie upaść w chwili, gdy łódka nagle do brzegu przybija. Zupełnie takiego doznajemy uczucia, jakgdyby siła jakaś niewidzialna popychała nas naprzód, to jest w kierunku, w którym łódka płynęła. Bo też rzeczywiście ruch łódki w czasie żeglugi udzielił się naszemu ciału, a gdy łódka nagle stanęła, ta siła ruchu nie odrazu

ustala w ciele naszym, działanie jej popycha nas dalej w tę samą stronę.

A teraz dodamy jeszcze ważny szczegół, iż ruch przechodzi od jednych cząsteczek do drugich, nie wstrząsa całym przedmiotem w jednym mgnieniu oka i nie popycha go dalej w całości, jak tylko ruch na pewnym punkcie się objawi. I tak np. wystrzałem z pistoletu można wybić w szybie szklanej mały okrągły otworek. podczas gdy mniej gwałtowne uderzenie kijem zgruchoce ją w drobne kawałki. Kula uderza z nadzwyczajną chyżością, odrywa część szkła w jednej chwili, a ruch, tym sposobem wzbudzony, nie zdąży przejść na dalsze cząsteczki szkła i te pozostają w spokoju.

Kuglarze nieraz na tej zasadzie urządzą ciekawą sztuczkę; po obu końcach kija drewnianego zatykają dwa druciki i opierają kij temi drucikami na dwóch szklankach. następnie innym mocnym kijem uderzają ów pierwszy po samym środku z wielką szybkością i siłą. Kij się przelamuje w tem miejscu, szklanki pozostają nietknięte. Ruch nie dochodzi jeszcze do końców kija, gdy już jest po wszystkim.

Rysunek dzisiejszy przedstawia sztuczkę dowcipną, lecz niezbyt łatwą do wykonania, uprzedzamy o tem czytelników. Idzie o to, aby stos groszaków, ułożony na talerzu, zrzucić na stół w całości, bez rozsypania pieniędzy. Trzeba podnieść talerz z groszakami ponad stołem, potem spuścić go bardzo szybko w kierunku pionowym i równie szybko o 10 centymetrów mniej więcej ponad stołem wysunąć talerz w bok w kierunku poziomym, przechylając go cokolwieczek. Stos groszaków, w skutek prawa bezwładności, pozostanie nieruchomy, nie rozsypie się, lecz w całości na stół spadnie. Ruch, nabyty przy opuszczaniu talerza z góry na dół, utrzyma się w nim i nadal, a gdy straci podporę, w tymże samym kierunku pionowym posunie się dalej.

W poprzednim doświadczeniu z Nru 42-go łatwo także zrozumieć działanie siły bezwładności. Ruch noża pociąga za sobą lekką chusteczkę, przecinając jednocześnie jabłko, które mu stawi opór. Gdybyśmy jabłko popchnęli, toby się potoczyło, zawsze w skutek tego samego prawa bezwładności, bo ono rozmaicie działa, stosownie do sposobu użycia i ilości.

## W DZIEŃ ZADUSZNY.

..... Z tamtego świata  
Dusza dziewczęcia wśród siniej fali,  
Na mgieł jesiennych różanej fali,  
Z nieba ulata.

Bo choć sny złote  
Jej się marzyły, tam, w ziemi łonie,  
Wiatr przyniósł kwiatów rodzinnych wonie,  
Żal i tęsknotę.

I pod zieloną, świeżą mogiłą,  
W śpiącym dziewczęciu serce zabiło  
Do matki.

Więc rozchyliwszy grobu zasłony,  
Wzniosła się lekka nad drzew korony,  
Nad kwiatki,

Z tamtego świata  
Bieży pół senna i pół marząca,  
Lekka że stopą rosy nie strąca.

Z kielichu kwiatu;  
Wpłynęła jasna w rodzinne progi,  
Wpół martwe serce ból ścisnął srogi,  
Zadrzała!

Ot tam przy słabym blasku łuczywa  
Usiadła w oknie staruszka siwa  
I spała.

Lecz nie wesoło widać coś marzy,  
Bo łezki srebrne płyną po twarzy

Matczynęj,  
Widać się biednej matce przyśniła  
Tam na cmentarzu świeża mogiła  
Dziewczynny.

Więc dziewczę obie wyciąga dłonie,  
Chciałaby tulić na martwym łonie

Tę siwą głowę,  
I te spłakane, matczyne oczy  
Obetrzeć zwojem jasnych warkoczy  
W swe włoski płowe!

Ale daremnie, już nie przygarnie  
Matka dziewczynę zgasłą tak marnie  
Do swego łona.

Wszak je już dziela, ot tam daleko,  
Cmentarne wrota, trumienki wieko,  
Śmierci zasłona...

\* \* \*

I znów chłód śmierci na dziewczę wionął,  
Zgasł bladym promyk, co chwilę płonął  
Na dnie jej serca,

I znowu cicha, drżąca i blada,  
Mała dziewczynka w grób się układa,  
Wśród traw kobierca.

Lecz dawny uśmiech znikł z martwej twarzy,  
I już snów złotych dziewczę nie marzy  
Na swęj poscieli!

I tęskni w grobie za swą matulą,  
Choć ją tam w niebie pieszczą i tulą  
Biali anieli.

*Gabryela Jasińska.*

## Piętnastoletnia regentka państwa.

Obrazek historyczny z wieków średnich.

Zamęt straszliwy i niepokój panował w cesarskim pałacu Teodozjusza Małego, władcy wschodniego państwa. Małym go zwano, gdyż jakkolwiek nosił imię potężnego swojego dziada, Teodozjusza Wielkiego, sam dotychczas na inny przydomek nie zasłużył, był w rzeczy samej „małym“, był dzieckiem. Ów Teodozjusz, który już berło cesarskie dzierżył w swych rękach, był chłopczyną dwunastoletnim, wątłym i niezbyt roztropnym.

Rodzice jego, cesarz Arkadyusz i cesarzowa Eudoksya, spoczywali już w grobie, a w pałacu wspaniałym w Konstantynopolu roku pańskiego 413-go przebywał tylko małoletni cesarz Teodozjusz z trzema siostrami, Pulcheryą, Maryną i Arkadyą. Ciężkie brzemię panowania spadło na te dzieci w chwili właśnie, gdy potężne cesarstwo wschodnie, założone przez wielkich ich przodków, Konstantyna i Teodozjusza, chwiał się poczynając coraz wyraźniej.

Oto i teraz zamieszanie okropne powstało w pałacu i w całej stolicy, nadeszły bowiem groźne wieści od granicy Dacyi: Ruas, barbarzyński król Hunów, ciągnął od wschodu, wzdłuż wybrzeży Dunaju, prowadząc za sobą hordy dzikich wojowników, które rozpraszały legiony rzymskie i pułki wszystkie po drodze.

Mądry i doświadczony Antemiusz, prefekt wschodniego państwa, a zarazem nauczyciel i opiekun młodego cesarza,

zmartwiony był wielce i przygnębiony temi smutnemi wiadomościami. Już raz wprawdzie udało mu się z wielkim trudem odeprzeć przednie straże barbarzyńskich Hunów, zmusił nawet do uległości częściowej plemiona Traków, walczące pod wodzą Ulpina. Ale obecnie wiedział doskonale, że wojska rzymskie, zgromadzone nad Dunajem, nie byłyby w stanie powstrzymać straszliwej nawały Hunów, którzy niezliczonymi gromadami ciągnęli z dalekich krain azyatyckich za władcą swym ulubionym Ruasem, chciwi podbojów i łupów. Paręset mil zaledwie dzieliło dzikie te hordy od siedmiu bram i murów potrójnych wspaniałego Konstantynopola.

Konstantynopol! Nazwa ta budzi dziś w wyobraźni naszej cały szereg niezwykłych obrazów. Widzimy tam Turków w zawojach, meczety i minarety, muftych i kadych, imamów i muezynów, kobiety w szatach dziwacznych, szczególnie obnieszko przed wzrokiem przechodniów, postacie z „Tysiąca i jednej nocy“, odrębny świat wyznawców Mahometa. Tak niezawodnie przedstawia się Konstantynopol, stolica Turcyi, młodemu czytelnikom dzisiejszym, znającym ją z opisów podróży. Lecz ten sam Konstantynopol jaśniał chwałą największą o wiele lat przed Mahometem, przed wojnami krzyżowymi, w tych czasach dawnych, gdy był ogniskiem chrześcijaństwa, świetną, bogatą stolicą państwa chrześcijańskiego, rezydencją monarchów chrześcijańskich; a czasy te liczyć można od panowania Konstantyna Zdobywcy, aż do Justyniana Prawdawcy i cesarzowej Ireny. Przez pięć wieków przeszło wspaniałe to miasto gromadziło i skupiało w swych murach cały przepych wschodu, a jednocześnie i Rzym stary udzielał niemało ze swych własnych skarbów dla wzbogacenia i przyozdolenia młodszej stolicy u Złotego Rogu. Za czasów Teodozjusza Małego, dwór cesarski w Konstantynopolu, pomimo trwogi, wywołanej przez zbliżających się barbarzyńskich najeźdźców, jaśniał taką okazałością, takim blaskiem, jakich zapewne nigdzie, w żadnej innej stolicy napotkać nie było można.

Dnia pewnego w środkowej części pałacu, zwanego *daphne*, prefekt Antemiusz siedział wraz z małoletnim cesarzem i tuzemą jego siostrami, w otoczeniu liczego, wspaniałego dworu. Oczekiwano posłów Ruasa, króla Hunów, strasznego wojownika, który podbijał kraje całe i ludy uprowadzał w niewolę.

Przybyli wreszcie oczekiwani posłowie, ludzie olbrzymiego wzrostu i niezwykłej siły, o twarzach niemitych, spleszczonych nosach i małych, skośnych oczach. Ubrani byli w skóry zwierząt i skórzane pancerze, na głowach mieli hełmy, przyozdobione wilczymi łbami i innymi dziwaczными znakami. Widok to był tak straszny i wstrętny, że dzieci cesarskie zadrapały, chociaż zarazem ciekawych oczu oderwać nie mogły od tych niezwykłych postaci. Gwardya cesarska w złocistych zbrojach stanęła przy nich na straży, posłowie Hunów mieli także przy sobie orszak z łuczników złożony. Najstarsza księżniczka Pulcherya zauważyła odrazu pośród gromadki barbarzyńców dwunastoletniego mniej więcej chłopca, który wprawdzie powierzchownością nie różnił się od towarzyszy, był także krępy, niezgrabny, nos miał spleszczony i skośne oczy, lecz wzrokiem wyniosłym, dumnym, z góry spoglądał dokoła, znać było, że przepych cesarskiego dworu żadnego na nim nie wywarł wrażenia.

Eśław, główny poseł Ruasa, króla Hunów, wypowiedział żądania swojego pana, to jest oznaczył znaczną przestrzeń ziemi na wybrzeżach Dunaju i znaczną ilość złota. Zagroził przytem, że jeżeli Ruas natychmiast tego nie otrzyma, przybędzie z wojskiem, zniszczy miasta po drodze i wioski w perzynę obróci, a wówczas sam zabierze daleko więcej niż to, czego teraz wymaga.

— Zuchwałe to są słowa — rzekł Antemiusz, spokojnie na pozór — a jeśli pan mój, obecny tu cesarz Teodozjusz odmówi?

Ale nim poseł główny odpowiedzieć zdążył, młody chłopak, który zwrócił na siebie uwagę księżniczki Pulcheryi, wyskoczył nagle na środek sali i gwałtownym, wyzywającym ruchem podnosząc włócznią w górę i zwracając się ku tronowi, zawołał donośnym głosem:

— Wy psy i dzieci psie! wyżyście śmieli nam odmówić? Jeżeli cesarz nie zjedna sobie przyjaźni naszej, nie okupi przymierza, dając nam tyle złota ze swego skarbcza, ile zażądamy, król Ruas zrówna z ziemią ten pałac wspaniały, a was wszystkich uprowadzi w niewolę. Walka śmiertelna wybuchnie pomiędzy Hunami i wami, i walka ta zakończy się ostateczną zagładą waszego państwa. Niech włócznia moja tym słowom przyświadczy!

I mówiąc to, cisnął gwałtownie długą swą włócznię o ziemię, aż mozajkowa posadzka rozprysła się dokoła. Mały cesarz i księżniczki, prefekt i dostojnicy dworscy, gwardya cesarska, wszystko zerwało się na równe nogi, gdy włócznia barbarzyńcy zadzwęczała nagle na posadzce wspaniałej; nawet posłowie króla Hunów, chociaż uśmiechali się z zadowoleniem na widok bezkarnego zuchwalstwa młodego towarzysza, odciągnęli go jednak na stronę i powstrzymali w dalszych popędach.

Nim jeszcze sędziwy prefekt Antemiusz ochłonął ze zdumienia i na odpowiedź się zdobył, młodzianka księżniczka Pulcherya zwróciła się do posłów i wskazując na zuchwalca, zapytała spokojnie:

— Co to za jeden, ten gwałtowny chłopak? Jakiem prawem wszedł do pałacu cesarskiego?

Chłopiec wystąpił znowu naprzód i odrzekł śmiało:

— Jestem Attyla, syn Mundzuka, krewny króla Ruasa, śmiertelny wróg Rzymu.

— Dobry Antemiuszu — rzekła księżniczka łagodnym, lecz pewnym i stanowczym głosem — możeby należało przekonać tego młodego, dzikiego księcia, który tu przybył do nas z borów północnych, że potężny cesarz ma złoto dla przyjaciół, a dla wrogów żelazo. Lepiej więc przyjaźń z nim zawrzeć, niż żywić nienawiść. Proszę cię, każ odstąpić hipodrom, niech goście nasi przypatrzą się potędze i wielkości wojsk cesarskich.

Przyjemnie zdziwiony szczęśliwym pomysłem księżniczki, prefekt klasnął w dłonie, a na to hasło bogata zasłona, ukrywająca przed oczyma widzów szereg kolumn złocistych, rozsunała się, jakby za dotknięciem rąk niewidzialnych, i posłowie króla Hunów ujrzeni nagle przed sobą okazały hipodrom konstantynopolitański.

Była to przestrzeń rozległa, cała armia ogromna mogła się wśród niej wygodnie poruszać. Dokoła stały rzędem siedzenia marmurowe, a ponad niemi wznosiły się przepyszne posągi z marmuru, brązu, srebra, a nawet i złota. Postacie Cezarów Augustów, bóstw pogańskich, bohaterów starożytnych, zdawały się stać na straży i osłaniać wielkość tego grodu urokiem dawnych, świetnych pamiątek. Na tle jasnego nieba wschodu, obłany potokami światła, obraz ten nieopisanie wywierał wrażenie. A cóż dopiero, gdy nagle z krużganek cesarskiego zagrzmiały trąby i na arenę wystąpiły jedne po drugich oddziały wojsk w świetnych, bogatych strojach, w błyszczących zbrojach, jaskrawych ozdobach, z powiewającymi w promieniach słonecznych sztandarami, okazałymi znakami wojennymi; łucznicy pieszo, jeźdźcy z kopiami na koniach, przybranych w rzędy wspaniałe, słonie wojenne, ze sterczącymi wysoko wieżycami, wreszcie różne przyrządy i maszyny, używane przy zdobywaniu miast obronnych. A ponad wszystkie sztandary i znaki, najwyżej, najdumniej powiewała święta chorągiew Konstantyna, purpurowe *labarum*, złotem i klejnotami naszywane. Wszystkie te oddziały przeciągały z wolna, okrażały plac cały dokoła, wykonywały przeróżne manewry wojenne, a barbarzyńcy chciwym i ciekawym wzrokiem śledzili wszystkie ich poruszenia; na dzikich tych twarzach łatwo było wyczytać uczucia podziwu, uwielbienia, poszanowania.

— To, co widzicie — ozwał się poważnie Antemiusz — jest garścią piasku w pustyni, kroplą w morzu, wobec wszystkich wojsk cesarstwa.

Księżniczka Pulcherya dodała:

— Wojska te, mężowie północni, wspomagają i bronią przyjaciół wielkiego cesarza, lecz wrogom jego niosą śmierć i zniszczenie. A teraz, dobry Antemiuszu, twoją rzeczą jest

przełożyć posłom króla Ruasa, że roztropniej podobno byłoby ze strony ich pana zawrzeć przyjaźń z cesarzem, zamiast szukać z nim zaczepki. Wódz Hunów jest waleczny, mógłby zostać wysokim dostojnikiem wojskowym w cesarstwie, dowódcą wielkiego oddziału, a za to pobierałby od cesarza znaczne wynagrodzenie w złocie i szczyliłby się jego łaską.

Znowu z zadowoleniem i zdziwieniem zarazem spojrział stary prefekt na tę roztropną piętnastoletnią dziewczeczkę, która tak trafnie znalazła drogę do serc barbarzyńców północy, czułych tylko na dźwięk złota i wojenną chwałę.

— Czy słyszcicie, dostojni posłowie, mądre słowa księżniczki? — rzekł, zwracając się do nich. — Jeżeli król wasz Ruas zechce być sprzymierzeńcem cesarza i dowódcą części wojsk jego, otrzyma za to rokrocznie dwieście funtów w złocie, jako nagrodę za przyjacielskie usługi.

— Powiedz raczej trzysta funtów — odpowiedział Eslaw, najstarszy z posłów — a może pan nasz uzna za właściwe zgodzić się na to.

— Wielki cesarz nie powinien się targować z przyjaciółmi — odezwała się śpiesznie księżniczka Pulcherya — podnieś zapłatę roczną do trzystu pięćdziesięciu funtów złota, dobry Antemiuszu i niech goście nasi odniosą królowi swemu słowa pokoju i przyjaźni od cesarza, niech przymierze, zawarte pomiędzy nimi, przetrwa długie lata.

Wtem powstał mały cesarz Teodozjusz, po raz pierwszy głos podniósł, najniezręczniejszając się w tak ważnej chwili do rozmowy, o mało też nieroztropnością swoją nie zakłócił na nowo spokoju.

— A ja chcę — zawołał Teodozjusz — żeby ten chłopak barbarzyński, co się odzywał tak zuchwale, pozostał zakładnikiem na moim dworze.

Młody Attyla poskoczył naprzód i z oburzeniem wykrzyknął, patrząc śmiało w oczy maćletniemu cesarzowi:

— Nie będę niczym zakładnikiem! przybyłem tu swobodny i swobodnie odejdę. Zejdź z tego błyszczącego swojego stołka, pójdź do mnie, a poprobujemy się, czy tu, czy tam na tym placu. Obaczymy, który z nas silniejszy, któremu przystoi być zakładnikiem.

— Co, co! Jak śmiesz tak mówić do mnie? — wykrzyknął mały cesarz, nienawykły, aby ktokolwiek zapominał o uszanowaniu, należnym jego dostojności. Popędliwy Attyla mówił dalej:

— Powiem ci jeszcze coś więcej, ty, pyszny chłopaku. Gdybym ja był królem Ruasem, trawa nie porośłaby nigdzie, gdzieby przeszedł wóz mój wojenny. Zagarnąłbym kraj Scytów, Persya byłaby moją, moim także byłby Rzym. A pomnij te słowa, cesarzu: przyjdzie czas, gdy król Hunów nie zadowolni się skromnym haraczem, wzgardzi dostojnictwem, ofiarowaniem mu przez innych monarchów, lecz zagarnie skarby ich w całości, zagarnie państwo rzymskie, Rzymian uczyni niewolnikami.

Na szczęście potok tych słów gwałtownych zażegnał znowu łagodny i spokojny głos księżniczki Pulcheryi.

— O nie tak, dobry Attylo, nie tak, bracie mój i panie — rzekła — pomiędzy przyjaciółmi i sprzymierzeńcami nie powinno być mowy o haraczach, zakładnikach, o niewoli. Ty, Attylo, przyszedłeś tu swobodny, i swobodnym odejdiesz. Niech dar ten przypomina ci przyjaźń zawartą pomiędzy cesarzem Teodozjuszem i Hunami.

Mówiąc to, młoda księżniczka wdzięcznym ruchem zdjęła z siebie kosztowny łańcuch złoty i zarzuciła go na gruby, hardy kark popędliwego Attyli.

I tak roztropność i przytomność umysłu młodziutkiej dziewczyny odwróciły na razie groźne niebezpieczeństwo najeźdźcy barbarzyńców. Ruas, wódz Hunów, przez długie lata zadawał się roczną zapłatą 350 funtów złota i tytułem dostojnika cesarskiego. Popędliwy Attyla daleko później doszedł do władzy i okrył się złowrogą sławą.

Prefekt Antemiusz był mądry i poznał się na przymiotach umysłu księżniczki Pulcheryi. Spostrzegł także, jak wielki wpływ wywierać umiała na młodszym bracie, cesarzu; gdy więc odeszli posłowie króla Hunów, rzekł do niej:

— Rządź ty na moim miejscu, księżniczko. Ty jedna w dzisiejszych trudnych okolicznościach potrafisz kierować nawą państwa i uchronić je od groźących zewsząd nieszczęść.

Ale Pulcherya niemniej była ostrożną i przezorną, jak roztropną; odrzekła więc skromnie:

— Zawiłka to odpowiedzialność dla takiej młodziej, jak ja, dziewczyny, dobry Antemiuszu. Pozwól mi raczej być nauczycielką i opiekunką brata mojego, cesarza, a i ty ze swej strony wskazuj mi, jak na rządzić tem potężnym państwem, aby pomyślność jego utrzymała, stać się mądrym i sprawiedliwym władcą. Lecz nim on do lat dojdzie, ty sam musisz pozostać na czele rządów.

— O nie, księżniczko, — mówił stary prefekt — zaledwie skromna jesteś. Kto umie tak mądrze kierować umysłem młodego, samowolnego chłopca, potrafi sprawować rządzą najpotężniejszego państwa. Bądź zatem regentką cesarstwa, bądź Augustą, słusznie ci się ten tytuł należy, boś godną córką Arkadyusza i wnuczką Wielkiego Teodozjusza.

Jak rzekł, tak się stało. Senat państwa wschodniego postanowienie jego potwierdził; długi szereg senatorów, wysokich dostojników dworskich, przeciągał dnia pewnego przez ulice miasta, wspaniale przyozdobione w flagi i wieńce zielone, wszedł na wschody pałacowe, suto usypane kwiatami, przy dźwięku trąb i muzyki wojskowej, przy okrzykach gwaroty, zebranej na podwórzu pałacu. I w obec zgromadzenia całego dworu, młoda, szesnastoletnia dziewczyna mianowana była regentką państwa wschodniego pod imieniem Pulcheryi Augusty. Było to dnia 4 Czerwca 414 r. Dwór cały, wraz z dziećmi cesarskimi udał się następnie do kościoła S-tych Apostołów, dla podziękowania Bogu i ślubowania uroczyste posłuszeństwa i wierności młodziutkiej pani.

A w kilka dni później księżniczka Pulcherya stanęła znowu przed ołtarzem w tymże samym kościele S-tych Apostołów w towarzystwie dwóch sióstr swoich i wszystkie trzy ślubowały uroczyste czuwać troskliwie nad dziedzictwem ojca, nie wyjść nigdy za mąż, nie odstępować brata.

I dotrzymały słowa. Dzieje tych trzech dzielnych dziewcząt wyglądają na ustęp pięknego, bohaterskiego poematu. Młodziutka regentka wraz z siostrami wyrzekła się wszelkiej próżności świata tego, wszelkich uciech, nawet świetnego stroju, ubiór cesarskich córek zawsze był prosty i skromny. Czas swój zapełniały dobrami uczynkami, szyły ubrania dla ubogich, haftowały ozdoby kościelne. Śpiewały przytem hymny pobożne, modlitwy i posty ofiarowały Bogu, prosząc o siłę potrzebną do wytrwania w spełnieniu ślubów. Dziewczęta te w rzeczy samej musiały być obdarzone wielką łaską Bożą, skoro potrafiły życie tego rodzaju prowadzić na jednym z najbogatszych, najświetniejszych dworów monarchicznych, otoczone zbytkiem, przepychem, pochlebstwami, pokusami najrozmaitszemi.

Zadziwiająco i rzewne zarazem szczegóły zapisali kronikarze o tej szesnastoletniej regentce. Gdyż nie nosiła ona dla formy jedynie tego tytułu, rzeczywiście wglądała we wszystkie ważniejsze sprawy państwa, rozumiała je, rozstrzygała w wypadkach wątpliwych i zawiłych, a starzy, poważni senatorowie z uszanowaniem zdania jej słuchali.

W r. 449 Teodozjusz zakończył życie, a wówczas Pulcherya wstąpiła na tron, została cesarzową wschodniego państwa. Pierwsza to była kobieta, która takiej godności dostąpiła. Niedługo jednak panowała, ona także zgłosiła w Czerwcu r. 453. W tymże samym roku umarł Attyla, potężny władca Hunów, z którym Augusta Pulcherya spotkała się w latach młodocianych w tak szczególnych okolicznościach. Wywarł on wpływ stanowczy na jej życie, wówczas to bowiem po raz pierwszy młodziutka księżniczka miała sposobność okazania wysokich zdolności swego umysłu. Attyla, biczem Bożym przewzany, pustoszył oba państwa rzymskie, tak wschodnie jak i zachodnie, nigdy jednak po raz drugi nie spotkał się oko w oko z Pulcheryą, nigdy nie próbował z hordami swojemi wpaść do wspaniałej stolicy u Złotego rogu, chociaż zdobyć ta nieraz go nęcić musiała.

## ZEBRY.

Czy widzicie to stado antylop, jakby szaleńczo porwane, z szybkością wichru pomykające po błoni? Musiały biedaczki usłyszeć z daleka ryk lwa, króla pustyni, a że są nadzwyczaj bojaźliwe, więc pędzą bez namysłu, może i bez powodu się tak przelekkły; jeżeli ich nie zatrzyma szeroki strumień

one wcale nie czołem do niego się obróca, lecz przeciwną częścią ciała. Wszak widzieliście zapewne, jak koń postępuje, gdy się broni od innych zwierząt, lub z człowiekiem chce wojować. Odwraca się, łeb schyla i podrzuca tylnymi kopytami tak gwałtownie, że i zabić może, jeżeli niemi uderzy. Zebrzy na pustyni tak samo wojują z drapieżnymi zwierzętami: stado szykuje się w koło, małe i słabe stają po środku, do środka też reszta obraca się łbami, a tylnymi ko-



Z e b r y.

lub gęstwiną ciernistych lasów, gotowe tak przebież przetrzeń ogromną. Daleko rozsądniej wyglądają zebrzy, z boku spoglądające na tę ucieczkę, lecz nie mające ochoty naśladować tchórzliwych antylop. One wiedzą, że i lwa potrafią odeprzeć, stawiając odważnie czoło niebezpieczeństwu i nie tracąc przytomności, a zwłaszcza trzymając się zgodnie razem, występując gromadnie przeciw nieprzyjacielowi.

Jeżeli mówimy „stawić czoło”, to w tym razie jest to figura retoryczna całkiem z prawdą niezgodna, bo gdyby lew lub inny zwierz drapieżny rzeczywiście napadać chciał zebrzy,

pytami dzielnie napastników częstują razami, które mogą i lwa odstręczyć od nierównej walki.

Zebrzy z trudnością wielką oswoić się dają, dlatego też dotychczas nie łakomią się na nie ludzie i nie zmuszają do niewoli, chociaż pokrewne im osły a zwłaszcza konie, także do tej samej rodziny zaliczane, od tak dawna oddają nam usługi. Zwierzęta te, jak widzicie na rysunku, odznaczają się skórą pięknie pręgowaną.

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Droga moja Gołąbko pocztowa!

Jak ogromnie listem twym ze wsi się ucieszyłam, trudno sobie wyobrazić, zawierał on przecież i dla mnie bardzo miłą odpowiedź. Serdeczne dzięki, Gołąbko luba!... W liście swym piszesz, abyśmy się starały donosić ci rozmaite wiadomości ze wsi. Chętniebym posłuchała twego wezwania, gdybym, ach! gdybym spędziła to lato na świeżem powietrzu. Mieszkać w Krakowie, nie mam sposobności do tego. Jednakże stąd nie wynika, abym nie robiła częstych wycieczek za miasto, w okolicy, gdzie przy pięknej pogodzie jestem w możności podziwiania wszystkich piękności, któremi przyroda hojnie ziemię krakowską uposażyła.

Byłaś ty, Gołąbko, w Tęczynku? Wątpię. Rzadko tu zawitają goście z Warszawy, tylko nasi Krakowianie lub wędrowni turyści podziwiają cały urok tych okolic. Myśmy, to jest mamusia, Lolek i Edek, moi dwaj młodszy bracia i ja, wyruszyli na tę wycieczkę, słysząc już oddawna o piękności okolicy, zwalisk zamku i cudnego z nich widoku. Obietnica więc mamy, że za dobre świadectwa w nagrodę zwiedzimy te pamiątkowe i urocze miejsca, napełniła nas wszystkich radością ogromną. Naznaczono dzień wyjazdu. Boże, Boże, żeby tylko ładnie było! wdychaliśmy przez cały dzień poprzedni, patrząc na niebo, które niestety, pełne było chmur prakcznych.

Nadszedł nareszcie dzień upragniony. Rano zrywamy się z łóżek, idziemy do okna, a tu dzień prześliczny, złote słońce figlarnie chowa się za chmury, to znów zsyła na ziemię swe ciepłe promyki. Radość ogromna! Zaczyna się pakowanie ciastek, owoców, siatek na motyle, parasoli, płaszców. Aż nareszcie o siódmym godzinie zajeżdżamy na dworzec kolei, aby jaknajprędzej stanąć u zamierzonego celu. Wsiadamy do wagonu, pociąg rusza, uwożąc nas z dusznych murów Krakowa. Tęczynek bowiem, jak wiesz zapewne, leży o ćwierć mili od Krzeszowic, ślicznej wioseczki, gdzie się pociąg z Warszawy do Wiednia zawsze zatrzymuje.

Z Krakowa do Krzeszowic odległość niewielka, czas mija szybko, szczególnie w przyjemnem towarzystwie, a jadąc koleją, o takie nie trudno. W tym samym przedziale co i my siedziała młoda pani z czworgiem dzieci, dwiema dziewczynkami i tyłuż chłopcami. Znajomość zawiązaliśmy prędko, Zosia i Marylka, dwie bardzo miłe panienki, jedna 14-nasto, druga 15 letnia, żywe blondyneczki, przyjechały z Królestwa na wakacje do swojej ciotki, która mieszka z synami w Tęczynku. Adaś 11 letni skończył pierwszą klasę gimnazjalną w Krakowie, zaprzyjaźnił się wkrótce z moim braciszkiem, a młodszy Staś, z początku nieśmiały, przyłączył się do nas. Mamy nasze również zawiązały rozmowę, czas mijał szybko na rozmowie, śmiechu i wesołości. Dla Zosi i Marylki droga była nowa, tłumaczyliśmy im tedy na wyścigi wszystkie ważniejsze szczegóły, ukazujące się po drodze, a więc z daleka cmentarz krakowski, dalej laszek szpilkowy, cel częstych naszych spacerów. Okolica, którąśmy przejeżdżali, dosyć jest jednostajną, gdzieś tylko widać małe wiejskie chatki, rozsiane na pochyłościach wzgórz, pola urodzajne, lub z dala szumiący las świerkowy. Wtem pociąg staje, przyjeżdżamy do Zabierzowa. Wioska ta leży na krańcu długiego, kilkamilowego lasu, którym pieszo można dojść do Tęczynka. W tym to lesie znajduje się sławna skała Kmity, z której miał rzucić się Piotr Kmity. Smutna ta historia \*) nieznaną była naszym towarzyskom podróży, ciekawie też słuchały, obiecując sobie za powrotem zwiedzić tę wysoką, mchem porośłą skałę. Tymczasem od Zabierzowa zmienia się okolica do niepoznania. Donośne Aaa! lub Oooo! oznajmiało zawsze jakieś piękniejsze miejsce, a Zosia wdychała tylko: „żeby ja tu mieszkać mogła”.

Wesołość była ogromna, chłopcy zaczęli śpiewać najrozmaitsze piosenki, i gdyby nie napomnienie obydwóch mam, krzykby powstał był zawielki. Śmieliśmy się jednak dużo, odgadywaliśmy szarady, wyczekując Krzeszowic z upragnieniem. A tu słyhać gwizdnięcie konduktora, i pociąg zajeżdża przed dworzec Krzeszowicki.

Wioska ta, własność hr. Potockiego, leży w ślicznej okolicy. W bliskości są pokłady marmuru w Czernie, a w Dębnych miejsce spaceru dla gości, przybywających z Krzeszowic. Tu znajduje się park bardzo piękny, a w nim dwa pałacyki, jeden stary, drugi nowy hrabiostwa Potockich. W parku wiele cienistych alej, a przed nowym pałacem staw ogromny. Tu pływają łabędzie i dzikie kaczkę, które mają śliczny maleńki domeczek na wodzie. Część stawu zamieniona na pstrągarnię i stąd znajdowały się na zeszłorocznej wystawie krajowej pstrągi maleńkie, i w dwunastu flaszeczkach ikra tych ładnych rybek, aby wykazać sposób rozwoju pstrągów. Na stawie grota z prześlicznych, mchem porośłych kamieni, a w niej sadzawka maleńka z fontaną i złotymi rybkami. Wszystko to przedstawia bardzo przyjemny widok.

Zosia i Marylka opowiadały dużo o ogrodzie Saskim w Warszawie, my o parku krakowskim, i czas mijał tak szybko na oglądaniu parku tutejszego, że bylibyśmy tu pewnie do wieczora zostali, gdyby nie nadzwyczajna próżnia w żołądku. A ponieważ, jak twierdzili starożytni „natura nie dozwala próżni”, nie chcąc się zatem sprzeciwić tej teorii, zabraliśmy się do zmniejszenia naszych zapasów podróży, a o 10 godzinie najęty wózek miał nas zawieźć do Tęczynka.

Ale cóż, ośm osób na jednym wózku, to troszkę za dużo, wszystkie wozy już odjechały, tylko nasza maleńka bryczuszka oczekiwała z niecierpliwością powrotu naszego z parku. Nie mogąc się jednakże doczekać, bośmy po drodze szukali drugiego stosownego wózka, odjechała... Osiedliśmy więc na koszu. Tymczasem z daleka zajeżdżał duży drabiniasty wóz z sianem. Młody chłopak powoził, konie szły powoli, krok za krokiem, a my młodzież przez ten czas błagałyśmy mamy, żeby nam pozwoliła jechać tym królewskim pojazdem w braku innego. Po długich prośbach nareszcie zgodzono się na to i całe nasze towarzystwo wgramoliło się na siano. Co to było śmiechu i uciechy, gdy Marylka wpadła zanadto głęboko, albo Adaś zgubił kapelus w sianie. Przyjemną, cieniastą, bo w lesie wyrzniętą drogą, jedzie się do Tęczynka. Las gęsty, dzięki, pełno w nim wysokich paproci i grzybów. Gdzieśgdzie woda, a nad nią modre niezapominajki podnoszą swe główki w błękitny nieba. Nigdzie ani żywej duszy, tylko od czasu do czasu kukułka odezwie się swoim „kuku” albo kos zagwizdnie, lub żaba zaskrzeczy. To milczenie, ta cisza w całej naturze, sprawiają dziwne, nieokreślone uczucie, tak, że nawet nasze zbyt wesołe towarzystwo bez śpiewu i hałasu dojechało do miejsca, gdzie las się kończy i w dali ukazują się ruiny zamku Tęczyńskich.

Tu droga stromo pnie się pod górę, na której szczycie wznosi się zamek okazały i patrzy w dolinę, pełną prześlicznych wiosek, lasów, łąk i pól. Wjeżdżamy wąską bardzo drożyną. Z jednej strony przepaść, z drugiej wyniosła góra. Wsiadamy z naszego drabiniastego powozu, który staje przed jedną z porządniejszych chatek Tęczynka, a my idziemy do maleńkiego dworku, gdzie mieszka ciocia naszych nowych znajomych.

Po przywitaniu i przedstawieniu rozpoczęła się wesoła rozmowa. Była godzina dwunasta. Słońce gorące promienie rozlewało na lasy, góry i dąbrowy okoliczne, i do tego stopnia nas nęciło, że wkrótce po przybyciu pożegnaliśmy naszą gościnną gospodynię i część towarzystwa podróży, a tylko z Zosią i Marylką począłiśmy się wdrapywać na górę. Ruiny oświetlone złotem słońcem, które przeglądało się w malowanym na szkle obrazie Najświętszej Panny, prześlicznie wyglądały. Niektóre mury są nie bardzo są zniszczone. Miejsce posadzek marmurowych zajmują teraz mchy miękkie, a w nich mają swe schronienie najrozmaitsze

\*) Podanie to nie jest pewne. (przyp. red.)

owadki. Tu na zielonym traw kobiercu, w cieniu drzew świerkowych, rozłożyliśmy się obozem.

Po obiedzie poszliśmy na maliny, których tu niezmiernie mnóstwo, a wkrótce nasze koszyczki, garnuszki i dzbaneczki napełnione były jagodami. Narwawszy kwiatów na bukiety, mieliśmy zamiar jeszcze trochę przejść się po pięknym lesie, w którym na każdym kroku spotykaliśmy bluszcz dzikie, pnące się po drzewach, powoje, goździki i ogromne paprocie, ale... urok widoku z ruin Tęczynka nęcił nas jeszcze bardziej i dlatego wśród murów starożytnego gniazda Tęczynskich szukaliśmy cienia. Daleko rozsiane wioski z białymi wieżyczkami kościołów, strumyki wśród wzgórz, lecz co najpiękniejsze, to las ogromny, wielki, tajemniczy las, pełen dzikiego uroku. Wszystko to tak piękne, tak harmonijną tworzy całość, że mimowoli nie możemy się wstrzymać od wykrzyknika: „Jak piękne to życie!” I z dziękczynnym uczuciem wnosimy oczy do Pana nad Pany, co cały świat tak ślicznie, cudnie urządził.

I z temi uczuciami w sercu opuściliśmy pamiątkowe mury Tęczynka, odwożąc Zosię i Marylkę do ich cici. Tu bawiliśmy jeszcze krótki czas, a następnie, po serdecznym pożegnaniu, wyjechaliśmy już porządnym wózkiem tęczynskim do Krzeszowic, aby wieczornym pociągiem stanąć w Krakowie.

Miła ta wycieczka na długo pozostanie nam wszystkim niezatarta w pamięci, a chcąc się z tobą podzielić przyjemnymi wrażeniami, skreśliłam ci ten opis przyjemnego dnia wakacyj. Może cię już znudziłam zbyt długim opowiadaniem, wybac mi to, luba Gołąbko i nie bierz za złe wiele życzliwości.

*Jedymacze.*

## GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Nietylko żywność, lecz towary najrozmaitszego rodzaju dowożone są obficie do Timbaktu, jako to: tkaniny bawełniane angielskie, jedwabie lyońskie, płótna saskie, szkła weneckie, mydła marsylskie, drobiazgi norymberskie, żelazne przedmioty z Solingen. Sam Manchester dostarcza towarów na 40 milionów franków, Lugdun jedwabi na 20 milionów, Wenecja szkieł na 50 milionów, a Solingen pałaszów i nożów stalowych na sto tysięcy franków. Jest to handel bardzo znaczny, według obliczeń, przybywa rokrocznie do Timbaktu około pięćdziesięciu tysięcy wielbłądów, obładowanych towarami conajmniej na sto pięćdziesiąt kilogramów wagi, czyli siedm tysięcy pięćset ton.

Timbaktu wysyła w zamian do Europy różne płody miejscowe, jak np. tytunie gorszego gatunku, bawełnę o krótkich włóknach, indygo, ryż i proso, gumę arabską, wosk, skóry różnych zwierząt, jak bawołów, zebr i wielu innych, pióra strusie, lekarstwa roślinne, kadzidła, masło drzewne, wreszcie kość słoniową, a nawet i złoto. Dodać do tego należy i rozmaite wyroby miejscowego przemysłu ze skóry i metali. Ze skóry szczególnie, pięknie wyprawionej na safian, Tuaregowie, a raczej kobiety ich wyrabiają dość piękne przedmioty, poduszki, worki, tłómczki; skóra bawola, trwała i nieprzemakalna, służy do wyrobu łągwi większych i mniejszych, zastępujących wiadra i konewki. Póki jest świeża i miękka, można jej nadać najrozmaitsze kształty, naciągając na formy drewniane. Wyglądzona następnie i wysuszona na słońcu, staje się twarda, niełatwo pęka, a naczynia tego rodzaju są nadzwyczaj mocne. Robią podobne łągwie ze skór koźlich i owczych, lecz bawole są najwyżej cenione.

Tak się przedstawia mniej więcej handel afrykański, znaczenie jego wzrosłoby niezawodnie, gdyby Europejczycy

zechcieli szczerze do tego przyłożyć ręki. Bogactwa Sudanu zasługują na to, takie było przekonanie wielkorządcy naszego Francuza i lubił o tem mówić, że rodacy jego powinni tę sprawę wziąć do serca, nie dając się wyprzedzić Niemcom i Anglikom. Edgar Voost czyli Imestan był teraz najserdeczniejszym jego przyjacielem, obaj prowadzili zajmujące rozmowy o przyszłości Sudanu i przewidywali dlań świetne losy.

P. Katarzyna niecierpliwiła się tymczasem, pragnęła jaknajśpieszniej wyjeżdżać. P. Lemercier miał także razem z nami powracać do Europy, spełnił już zadanie swoje, oswobodził miasto i pilno mu było zdać władzę, piastowaną podczas niebezpieczeństwa, w ręce szejka. Ale poczciwy Achmet el Bakai oświadczył, że to się odbyć nie mogło bez pewnej uroczystości i parady, w końcu więc kapitan przystał na kilkodziwną zwłokę.

W dniu oznaczonym dostojny timbuktukoj musiał się ukazać publicznie ludowi i hołdy jego odbierać. Szejk narzucił mu na plecy wspaniały burnus purpurowy i kazał wejść na wysoką estradę, ustawioną przed meczetem Sankore. Oddział Tademeketów pod wodzą dzielnego Auaba otoczył estradę, wszyscy trzymali miecze obnażone, wzniesione do góry. Tłumy ludności zgromadziły się na placu, wszystko to przeciągało przed wywyższeniem, wrzeszcząc w niebogłoso:

— Cześć ci i chwała, o wielki Rumi! Wysławiamy ciebie, dostojny Sidi-bu-medfa!

Później dopiero wyjaśniono mi dokładne znaczenie tych wykrzykników, których nie rozumiałem w tej chwili. „Sidi-bu-medfa” znaczy toż samo, co władca „grzmiących dział”, a nazwa „Rumi”, oznacza w Afryce dostojnego Europejczyka. W Koranie ta nazwa jest nadawana Grekom z czasów Aleksandra Wielkiego, następnie Rzymianom i Grekom z Byzancyum. Pomiedzy temi tłumami, przeraźliwe okrzyki podnoszącemi na cześć Francuza, było wielu z tych zapamiętałych powstańców Kuanów, którzy wrzeszczeli niedawno z takim samym zapałem:

— Niech zginie, przepadnie niegodny timbuktukoj i z nim razem wszyscy chrześcijanie!

Tak bywa zazwyczaj z ulicznym motłochem. Nie ma on własnych przekonań, łatwo się unosi, krzyczy, hałasuje, nie wiedząc często dokładnie, o co mu idzie. Nietylko w Timbaktu, lecz i w miastach europejskich dzieje się toż samo. Gdy wreszcie ludność cała, mężczyźni, kobiety i dzieci przeciągnęli z okrzykami przed wywyższeniem, do stóp tego tronu, na którym stał tryumfator w czerwonym burnusie, zbliżył się młody Fulan w burnusie białym; oczy wzniosł w niebo, jakby szukał natchnienia, był to improwizator, poeta. I on także wykrzyknął najpierw z całej siły, na jaką zdobyć się mogły potężne jego płuca:

— O wielki Rumi, cześć ci i chwała! Przesławny Sidi-bu-medfu, hołd ci składam wraz z ludem całym!

A potem deklamował dalej:

— Francis bono zwyciężył wroga, Allah uczynił go zwycięzcą, oby błogosławieństwem mojem go obdarzył! Niechaj się mnożą jego trzody, niech pola jego bogaty plon wydają! Francis bono przeszedł wszystkich emirów, potęgą swoją zgniół wroga, pokonał go siłą ramienia i siłą wątroby!

Kapitan Lemercier stał zupełnie jakby na szpilkach, byłby dużo dał za to, aby go uwolniono od tych hołdów, ale nie było rady, musiał słuchać do końca. Improwizator mówił zwolna, zatrzymywał się kiedyniekiedy i znowu głos podnosił, zapal jego wzrastał stopniowo, a wśród zgromadzonych tłumów panowało uroczyste milczenie. Wyjąłem papier i ołówek, zapisałem też starannie wszystko, co młody poeta deklamował. Oto jest improwiwacya ta co do słowa.

Drzą przed nim wszyscy źli ludzie,  
Wrogowie przed nim umknęli;  
On wroga łamie, jak trzcinę,  
Jemu cześć nieśmy i hołdy!  
On działa znalazł pod ziemią,  
Znaczenie pisma wyjaśnił,  
On władcą naszym i panem,  
Myśl jego naszą jest myślą.

\* \* \*

Niech słońce, i księżyc, i gwiazdy błyszczące,  
 Na timbuktukoja spuszcza swoje światło,  
 Niech wszystkie rozkosze na niego się zleją,  
 Na krewnych, przyjaciół, na całą rodzinę,  
 Na naród Francuzów, dzielnych i przesławnych,  
 Na mężnych rozynków, co mu pomagali,  
 Cześć, chwałę i hołdy niesiemy ci w dani,  
 O wielki i sławny nasz timbuktukaju!

Przytoczyłem tu tylko początek tej deklamacji, która się ciągnęła przez półtorej godziny. Fulan w białym burnusie na jedną nutę wysławiał czyny timbuktukoja i wzywał błogosławieństwa niebios na jego głowę, nie zapominając i o nas przy tej sposobności. Gdy umilkł wreszcie, Francuz odetchnął, ceremonia jednak nie na tem skończyć się miała; timbuktukoj musiał stać na swoim miejscu i patrzeć na przeciągające przed nim procesjonalnie przeróżne stowarzyszenia, jako to ulemów, imamów, wreszcie Kuanów tych samych, którzy niedawno tak okropnie na niego powstawali. Mokkadem czyli przełożony stowarzyszenia Mula Tajeb, wspomniany już nieraz Mohamed el Bagdadi, defilował na czele swoich podwładnych, a tak gorliwie wykrzykiwał na cześć Francuza, jakgdyby nigdy w życiu nie podburzał przeciwno niemu starego Bu-Szkary.

Na samym końcu postępowali z powagą wszyscy dostojnicy miejscy, liczne to grono składało się z wielkiego kowala, emirów, kadych i innych wysokich urzędników, brakło tylko pomiędzy nimi Faama, o którym zupełnie zapomniano, nikt ani wspomniał imienia jego, chociaż niedawno tak wielkie miał znaczenie, a nawet timbuktukojem i szejkiem był mianowany. Każdy przechodząc zbliżał się do wzniesienia, na którym stał ciągle kapitan Lemercier i całował z uszanowaniem jego rękę, wołając z całej siły!

— Niech żyje wielki Rumi! Niech żyje Sidi-bu-medfa! Cześć mu i chwała!

Wszystko jednak na tym świecie skończyć się musi, więc i ta uroczystość skończyła się nareszcie, a Francuz zmęczony i znudzony zstąpił z estrady, zdjął burnus czerwony i złożył władzę swoją czasową w ręce Achmeta el Bakai. Święto zwycięstwa w dalszym ciągu obchodzone było przez ludność miejską, nietyle uroczyście, ile wesoło i gwarnie. Doszło nawet do szału, objawy radości przybrały rozmiary niewidziane w krajach cywilizowanych, najzabawniejsze widowiska odbywały się po ulicach, gawiedź wykrzykiwała, skakała, co żyło w mieście brało udział w tych zabawach. Znalazło się zaraz mnóstwo sztukmistrzów i kuglarzy rozmaitego rodzaju, którzy niewybredną publiczność zabawiali figlami. I tak w jednym miejscu Arab połykał zapalone kłaki, w innym znów kilku drabów nawpółnagich pokazywało sztuki łamane, gromadki dzieci, przebranych za koty, biegaly tu i owdzie, naśladując głos tych zwierząt, murzyn ogromnego wzrostu, ustrojony po europejsku w obdarte suknie i cylinder wypłowiały, udawał „inglisa”, czem pobudzał publiczność do szalonych wybuchów śmiechu. Coraz nowe maskarady następowały po sobie, a wszystko pod gołym niebem, hałas i gwar ogłuszający panował po ulicach miejskich, miało to trwać przez siedm dni i siedm nocy, wedle rozporządzenia poczcziwego szejka. Chciał on upamiętnić tym sposobem wielki tryumf wojenny, który uświetnił jego rządy.

Jak tylko p. Lemercier uwolnił się od hołdów, uciążliwszych od czynności wojskowych, powróciliśmy razem z nim do naszego mieszkania, chcąc wypocząć i jaknajśpie

znięj gotować się do podróży. Ciocia Gudula od rana już zajęta była pakowaniem, p. Katarzyna nie posiadała się z radości.

(d. c. n.)

### ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(Ofiarowana Wisience z nad Sobu przez Gołąbkę pocztową).

Mam cztery nogi i na czterech chodzę,  
 A miejsce moje w drapieźników rzędzie;  
 Lecz zróbcie zmianę w trzeciej mojej nodze,  
 Zaraz też ze mnie co innego będzie,  
 Ptakiem się stanę, co ma dziób i pióra.  
 Też samą nogę zmieńcie po raz drugi,  
 Znowu się moja przemieni natura,  
 Pękata, duża, leję płynów strugi.  
 Zmieńcie raz jeszcze, a choć bardzo mała,  
 Postrach i grozę rozsiewam po świecie.  
 Przy nowej zmianie będę wreszcie miała  
 Postać człowieka, a jeśli zechcecie  
 W tej samej nodze jeszcze zrobić zmianę,  
 To się z mężczyzny wnet kobietą stanę.

### Łamigłówka klepsydra (S. Z.)

```

* . . . . *
* . . . . *
* . . . . *
* . . . . *
* . . . . *
* . . . . *
* . . . . *
* . . . . *
* . . . . *
* . . . . *

```

Zastąpić kropki i gwiazdki literami, ułożyć wyrazy. Rząd 1. Liczba. 2. Miasteczko we Włoszech. 3. Przysiółek. 4. Samogłoska. 5. Zaimek. 6. Zamek obronny nad Dnieprem. 7. Jezioro w Ameryce. Gwiazdki krzyżujące się powinny utworzyć od góry do dołu nazwiska słynnego malarza i słynnego uczonego.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go

#### Szarady:

Ro — za — li — ja.

#### Krzyża z podstawą:

```

          J
          P A W
R   Y   N E K
Z   Ó   Ł K I E W
P R O R O C T W O
S T Y C Z E Ń
M A H O Ń
          M A K
          I N N
          N O C
          K O W N O
S I O S T R A
K A R A K O R U M
B R O N I S Ł A W

```

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — W dzień zaduszny, wiersz p. Gabryelę Jasińską. — Piętnastoletnia regentka państwa, obrazek historyczny z wieków średnich. — Zebry (z drzew.). — Korespondencya Wieczorów Rodzinnych, p. Jedynaczkę — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.). — Łamigłówki, rozwiązania. Dodatek: Pies drewniany i żywy, bajka (z drzew.) p. Z. Morawską. — Wypadek z zapalkami p. Ciocię Janię. — Opowiadanie białego kuczka, spisała Marya z Grabowa (c. d.). — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzyńka do listów. Dodatek książkowy: Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.



## Pies drewniany i żywy.

(BAJKA).

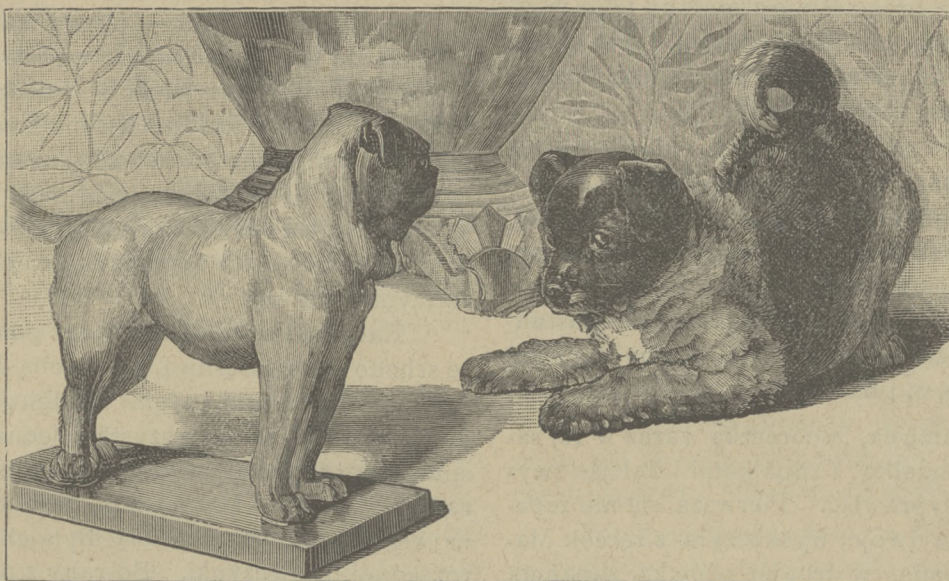
Wszedł wyżeł do salonu i zdziwił się srodze,  
Ujrzawszy psa, buldoga, co stał na podłodze.  
„Zkąd się wziął?” myślał wyżeł, jest jak w własnym domu,  
„A wszakże wejść niewolno tutaj byle komu.”  
Więc szczeknął, chcąc zapytać buldoga psią mową,  
Ale buldog stał dumnie, nie potrząsnął głową,  
Ani okiem nie mrugnął, nie kiwnął ogonem  
I patrzył wzrokiem szklistym, stojąc pod wazonem.

„I często na swym grzbiecie czuję karę srogą,  
„Gdy szczeknę, albo warknę, by obronić kogo.  
„Lecz wołę być psem prawym, choć na skórze z blizną,  
„Niżli martwą zabawką a psa podobizną.”

Z. Morawska.

## Wypadek z zapawkami.

Maniutka miała pięć lat i duża była na swój wiek,  
niejeden pomyślał, że już może i szósty roczek skończyła.  
Ale co rozumu, to i na trzy lata zamało być musiało



Więc wyżeł odskoczywszy, położył się, patrzy.

Że zaś wyżeł był z dawna mieszkańcem w tym dworze,  
Obcego więc bezkarnie zostawić nie może.  
Milczący ten przybłąda zakradł się do domu,  
Kto go wie, może sprzątnąć chce co pokryjomu,  
A potem gotów spędzić na domowe sługi...  
Szczeknął więc stary wyżeł, szczeknął raz i drugi  
I czeka, czy się buldog nia czwie psim głosem.  
Nic, cicho; więc wyżeł potrącił go nosem.  
Lecz odskoczył z przestachem, bo buldoga ciało  
Było zimne i sztywne, jakby skamieniało.  
Więc wyżeł odskoczywszy, położył się, patrzy,  
Potem rzeknie: „Wiem teraz, tyś odemnie gładszy,  
„I dlatego ci wolno pozostać w salonie,  
„Lecz tyś tylko zabawką na drewnianym trzonie.  
„Tobie dobrze, boś martwy, nie żyjesz na świecie,  
„Wszak ty nawet psiej skóry nie masz na swym grzbiecie.  
„Lecz pies, jako ja, wyżeł, z wyźłów starych rodu,  
„Muszę szczekać, gdy kogo biją bez powodu;

w główce Maniutki, chociaż i ta główka wcale nie była mała, tylko zapewne chyba próżna, a może wróbelki w niej latały. Bo to, jak wiadomo, w pustych strzechach wróble latają.

Maniutka nigdy nie słuchała uważnie tego, co do niej mówiono, jednym uszkiem to wchodziło do tej pustej główki, a drugą zaraz i wylatywało. Ile razy mama ją przestrzegała, żeby czegoś nie robiła, ona miała brzydki bardzo zwyczaj kręcić się, jak fryga, na jednej nóżce i wołać:

— O ho ho! O ho ho!

A choć wiedziała, że mama dobrze mówi, najczęściej wówczas tylko zważała na to i była posłuszna, gdy kto na nią patrzył. Z mamą żartować niemożna, gdyby Maniutka wręcz nie usłuchała, byłaby z pewnością ukarana, nie uszłoby to jej płazem. Więc jeżeli usłuchała, to jedynie dlatego tylko, ażeby kary uniknąć; takie posłuszeństwo właściwe jest zwierzątkom, a nie rozsądnym

dzieciom. Piesek, kotek, zwykle słucha z musu, z obawy, rozsądne dziecko słucha, bo wie i rozumie, że starsi dla jego dobra każą to i to robić, a tamtego unikać.

— Maniutko, nie rusz zapałek — powtarzała mama bardzo często, a Maniutka swoim zwyczajem wykręcała się na to młynka i wołała półgłosem:

— O ho ho! O ho ho! — odkładała pudełko z zapałkami, gdy mama była w pokoju, ale jak tylko wyszła, a dziewczynka sama została, zaraz znowu przysuwała się do stolika, chwyciła pudełko, otwierała i pocierała zapałki z całej siły.

Najczęściej nie udawało się Maniutce, zapałki łamały się w drobne kawałeczki, lecz nie zapalały się wcale, czasem jednak zapłonęła która. Wówczas nieposłuszna dziewczynka cieszyła się bardzo, zaczynała skakać i tańcować po pokoju z zapaloną zapałką w rękę, oglądała się tylko, czy mama nie wejdzie i nie zobaczy. Nigdy Maniutka nie pomyślała o tem, że mama musiała mieć ważny powód do tego, jeżeli zabraniała podobnej zahawy. Żadna mama przecież nie zrobiłaby tego jedynie, ażeby dziecko pozbawić przyjemności. Ale czy to nieroztropne dzieci takie, jak Maniutka, o tem myślą? Czy one zresztą myślą o czemkolwiek?

Posłuchajcież, co to się raz stało. Mama wyszła do kuchni i dłużej tam zabawiła, bo musiała pokazać kucharce, jak ma zrobić doskonałą jakąś leguminę. Maniutka została sama w pokoju, a zapomnieliśmy powiedzieć, że ona jest jedynaczką, niema więc w domu piastunki do młodszych dzieci, trudnoż trzymać piastunkę do pięcioletniej dziewczynki, chociaż do Maniutki przydałaby się jeszcze, o, i bardzo.

Wyszła tedy mamusia, a córeczka zaraz w tej samej chwili porwała pudełko z zapałkami i dalejże zwyczajne figle z niemi wyprawiać. Pierwsza się nie zapaliła, lecz przełamała na dwoje, wyskoczyła z rączek Maniutki i padła na ziemię, w drugiej główka zapalona oderwała się nagle i poleciała na sam koniec pokoju, gdzie zgasła po chwili, trzecia za to ślicznym płomyczkiem zapłonęła odrazu. Maniutka uradowana zaczęła machać i wymachiwać tym ognikiem na wszystkie strony, bawiło ją to niezmiernie, że się tak w powietrzu ten płomyczek wydłużał, zaczęła z nim skakać i tańcować po pokoju.

Nie pierwszy to już raz nasza dziewczynka bawiła się tak nedorzecznie, dotychczas jakoś jęj to uchodziło, bo Pan Bóg jest miłosierny, każdemu daje czas do upamiętania i poprawy. Gdy jednak, zamiast się poprawić z wiekiem, Maniutka po ukończeniu lat pięciu dalej broiła, kara musiała spaść na nią, ach, i spadła, jak to zaraz opowiemy.

Nie poprzestając na tej jednej zapałce, Maniutka chciała zapalić drugą, chwyciła więc lewą rączką pudełko, trzymając zawsze w prawej owę zapałkę płonąca. Przyszło jęj do główki, że z dwiema zapałkami zapalonymi zabawa będzie jeszcze ładniejsza. Chciała więc w obu rączkach trzymać małe ogniki i jakiś dziki taniec z niemi wykonywać. Lecz cóż się stało: gdy pocierała Maniutka jedną zapałkę, ogień padł przypadkiem na wszystkie inne, bo pudełko było odemknięte i raptem

cała paczka spora zapałek z trzaskiem wybuchnęła płomieniem ogromnym.

Przestraszyła się dziewczynka, rzuciła na ziemię, i zapałki, i pudełko, odskoczyła od ognia, ale już było za późno. Sukienka jęj zajęła się w mgnieniu oka i ogień gwałtownie od stóp do głowy ogarnął Maniutkę, parzył jęj rączki, szyjkę, nóżki, twarzyczkę. Ona zaś zrobiła to, co mogła zrobić najgorszego w takim razie, zaczęła biegać po wszystkich pokojach, krzycząc i wymachiując rękami. Ogień tym sposobem wzmagił się tylko coraz prędzej i gdy mama, usłyszawszy krzyki rozpaczliwe, nadbiegła do pokoju, ujrzała córeczkę całą w płomieniach.

Mama, pomimo przerażenia, nie straciła przytomności, pochwyciła grubą, ciepłą chustkę, w jednej chwili owinęła nią dziewczynkę jak można było najmocniej, aż ogień się wreszcie przydusił i zagasł. Ale Maniutka była strasznie poraniona, mama ostrożnie ją zaczęła rozbierać, oglądając rany, a wtem wbiegła służąca, wołając w niebogłosy, że się pali.

— Co, co się pali? — pytała mama, na nowo przerażona, ale już i pytać nie potrzebowała, bo kłęby dymu i płomienie okropne buchały z drugiego pokoju. Gdy Maniutka rzuciła pudełko z zapałkami płonącymi o ziemię, one tam wcale nie zagasły, ogień szerzył się szybko coraz dalej, aż dostał się do firanek u okien. Wówczas już nagle ogień cały pokój objął, przeszedł do drugiego, w którym właśnie Maniutkę ratowano, nie było sposobu zatrzymać pożaru.

Mama zaledwie miała czas z pomocą służącej znieść ze schodów nieszczęśliwą, poparzoną dziewczynkę i schronić się z nią do znajomych. Nadbiegł ojciec, dano znać do straży ogniowej, wszystko jednak napróżno, dom spłonął cały, zaledwo zdołano uratować kosztowniejsze rzeczy. Rodzice Maniutki ponieśli stratę ogromną, lecz największą dla nich boleścią była choroba biednej, nierozsądnej dziewczynki. Bo rany z poparzenia, pomimo śpiesznego ratunku, były niebezpieczne i długo nawet o życie Maniutki się obawiano. Powoli jednak przyszła do siebie i wyzdrowiała, tylko pozostało jęj na całe życie kilka szram, znaków oparzenia, jakby naumyślnie, żeby nigdy o tej okropnej przygodzie nie zapomniała.

Nie zapomniałaby i tak Maniutka, bo najpierw bardzo długo i dotkliwie cierpiała, a potem widziała zmartwienie rodziców. Przez ten czas, gdy biedaczka nieruchomo w łóżeczku leżeć musiała, w główce jęj zaszła wielka zmiana, przybyło dużo rozumu, wróble się rozleciały. Wstała też potem zupełnie inną Maniutka, rozsądna, posłuszna, nigdy już od tej pory rodzice przykrości nie mieli z jęj przyczyny.

*Ciocia Jania.*

## OPOWIADANIE BIAŁEGO KUCYKA,

spisała MARYA Z GRABOWA.

(Dalszy ciąg).

— Jaki on śliczny, jaki szczęśliwy! — wołał chłopczyk z łoża, siedzący obok matki, która go czule trzy-

mała za rękę; łatwowieczne dziecko! pomyślałem, a czy ty wiesz, że pod tym złocistym kaftanem kryje się niejedna krwawa pręga od bata, a ten groźny człowiek, który popędza konie, jego ojciec, oprócz szpicruty, nie ma inną dla syna pieszczoty i tylko tyle go ceni, ile jego skoki przyniosą mu korzyści; o wychowanie, a nawet o życie nie dba wcale. Niestety, przekonałem się o tem i sam wkrótce.

James i ja staliśmy się ulubieńcami publiczności, nawet i stary bywał zadowolony, nieraz poklepał mnie po grzbiecie, a James'a po rumianych policzkach. — Może i będzie co z tych niedołęgów — pomrukiwał; to już był dowód niezwykłej łaski. Uczył nas też coraz nowych sztuk, występowałem w poczcie Czikosów razem z czterema kucykami, pobrzękując dzwonkami; obiegałszy szalonym pędem arenę, a James w węgierskim stroju, stojąc na moim grzbiecie, trząsał z dużego bata; to znów z wolnej ręki aportowałem, jak pies, chodząc na dwóch łapach, wszystko na komendę James'a, który w aksamitnej kurtce zielonej, długich lakierowanych butach, ślicznie wyglądał.

Wszystko to jednak było zamało dla chciwego Francuza, a że mieliśmy z Wiesbadenu przyjechać do Warszawy, umyślił dać wielkie ostatnie przedstawienie. Na łokciowym afiszu wielkimi, czerwonymi literami wypisano było, że dnia tego wśród rozmaitych ciekawych sztuk ujrzy publiczność nadzwyczajne ćwiczenia swego ulubieńca na niesiodłanym koniu. Byłoby się to może udało, bo James nabrał już wielkiej zręczności i pewny był o siebie na przedstawieniu, ale straszne nieszczęście spadło na nas.

Stajenny, który mnie zwykle siodłał na przedstawienie, założywszy uzdeczkę i popręgę, zapomniał, uraczywszy się piwem, wytrzeć kredą grzbietu; robi się to dla tego, aby jeździec, skacząc prosto z ziemi, nie ślizgał się po miękkiej sierści. Czulem już zawczasu, że źle będzie i niechętnie wstępowałem w arenę, ale stary kuglarz energicznie popędzał batem, trzeba było iść, czyż koń może wypowiedzieć ludziom co myśli? My nieraz wcześniej od wszystkich spostrzegamy niebezpieczeństwo, szczęśliwy ten, który ostrzeżenie nasze zrozumie i usłuchać go zechce.

Muzyka zagrała znaną polkę, James uśmiechnięty wskakuje na mój grzbiet, lecz w tejże chwili osuwa się na ziemię bez szwanku, a zawstydzony, słysząc poza sobą świst ojcowskiego bata i groźne: „dalej!” rzuca się śmiało, aby przesadzić przeszkodę z ponsowej materyi. Już szczęśliwie podskoczył w górę, już ma stanąć na moim kłębie, naraz ześlizguje mu się noga i nawznak upada. Okrzyk grozy rozległ się z tysiąca piersi, wyniesiono James'a omdlałego, ja postępowałem za nim ze spuszczoną głową. Dyrektor cyrku uspokoił publiczność, że to nic nie znaczące zemdlecie w skutek małego upadku, przy końcu przedstawienia ulubieniec publiczności jeszcze raz wystąpi, aby podziękować za okazane współczucie. Muzyka zagrała hucznie, ozwały się bębny i trąbki, wyskoczyło kilku błaznów z piskiem i dzwonkami, na przedce urządzono wesołą pantomimę, śmiech zastąpił przestrach i chwilowe zmartwienie, a tam w stajni, na wiązce słomy, dogorywał biedny James, jak kwiat

zwarzony mrozem w zimną noc wiosenną. Nie cierpiał wcale, na ustach jego błąkał się uśmiech, a oczy patrzyły w dal nie ziemskim już wyrazem. W około niego wszyscy smutnie kiwali głowami, kilka kobiet płakało, stary kuglarz tylko mruczał niezadowolony:

— To dopiero niezgrabiarz, gotów zginąć teraz i mój zarobek przepadnie.

Ale James obojętny był na głos ojca, czuł, że życie jego ucieka.

— Bobo — rzekł do mnie cichym głosem — ja idę tam, do Boga, chociaż nie umiem pacierza; wszak On mnie przyjmie do siebie; tu mnie nikt nie kochał na ziemi, tam lepiej. Ach! tam u Boga! — to były jego ostatnie słowa!!

Już tyle lat ubiegło od tej smutnej chwili, a jednak często mi stają na myśli. Odtąd zbrzydł mi cyrk i nigdy już więcej nie byłem na przedstawieniu. Kuglarz sprzedał mnie dyrektorowi, a sam wyniósł się do Ameryki, gdyż jak utrzymywał, nie wiodło mu się w tym cyrku. Oddano mnie w opiekę błaznowi, którego nienawidziłem, bo czyż jest więcej upokarzające stanowisko dla człowieka, jak co wieczór z umalowaną twarzą, w cudacznej odzieży, przewracać koziołki, bić się po twarzy, kopać nogami, a to wszystko, aby pobudzić ludzi do śmiechu?

To miał być mój towarzysz po śmierci drogiego James'a. Nie i nie, powiedziałem sobie, pomimo bicia, głodzenia, nic już ze mnie zrobić nie mogli, stałem wciąż ze spuszczoną głową w arenie, ani kroku naprzód postąpić nie chciałem. Przyjechaliliśmy do Warszawy, zmiana miejsca nic nie podziałała na moje usposobienie, a że w skutek złego obejścia chudłem i zacząłem tracić na wartości, zniecierpliwiony dyrektor postanowił puścić mnie na loteryę, rachował, że przynajmniej odbierze część pieniędzy, które za mnie kuglarzowi zapłacił.

Przedstawienie udało się świetnie i przyniosło wiele dochodu, dla mnie to było obojętne, dopiero wiadomość, że zostałem wygrany, zbudziła mnie ze zwykłej zadumy; moim nowym właścicielem był chłopczyk w mundurze gimnazyjalnym, znacznie starszy od James'a, ale równie przyjemnej powierzchowności; ucieszyłem się, że będę do niego należał, wkrótce przekonałem się jednak, że próżna to była radość, gdyż odezwał się do mnie, głaszcząc moją grzywę:

— Mój kucyku, bardzo mi się podobasz, ale nie jestem dosyć bogaty, abym mógł konie trzymać w mieście, a zresztą mamie potrzeba pieniędzy na kuracyę, ja z moich korepetycyi nie wiele zarabiam, a tu trzeba dużo na wyjazd za granicę. Chętnie cię też sprzedam, aby mama miała pieniądze na drogę.

— Podobno, mój kawalerze, masz zamiar sprzedać tego kucyka? — odezwał się jakiś niemłody mężczyzna — jaby go nabył dla syna.

Prędko zgodzili się na warunki i tegoż samego dnia biegłem za bryczką mojego pana. Wieczór się zbliżał, gdyśmy stanęli w domu. Zmęczonego zaprowadzili mnie zaraz do stajni, gdzie było dużo innych koni, ale czulem się tak zmordowany drogą, odbywając pierwszy raz kilkomilową przestrzeń, że nie zwracałem wcale uwagi na mych towarzyszy; dopiero na drugi dzień rano zacząłem

im się przyglądać. Konie powitały mnie przyjaźnie, najwięcej je jednak podobała mi się duża klacz kasztanowata zaprzęgowa, stojąca w osobnej klatce z maleńkim konikiem.

Jak ona go kochała, jak czule spoglądała za nim, gdy się cokolwiek oddalił i przyzywała wystraszonego głosem. Pierwszy to raz widziałem uczucie macierzyńskie, okazywane w ten sposób, to też nie mogłem się wstrzymać od zapytania, czy wszystkie matki tak bardzo kochają swoje dzieci.

— Nie dziw się, mój kucyku — odpowiedziała kasztanka — miłość matki dla dziecka, począwszy od człowieka, który nad nami panuje rozumem i ma najwięcej rozwinięte uczucia, aż do najlżejszych stworzeń, zarówno się objawia, a istoty ludzkie, które jej nie uczuwają, niż stoją niż bezrozumne zwierzęta. Zobaczysz, kucyku, że tu inna atmosfera panuje, niema tych świetności błyskotliwych, co w cyrku, ale tak między ludźmi jak i zwierzętami kwitną trwalsze uczucia.

(d. c. n.)

**Łamigłówka głoskowa.**

A A  
K T S R  
K U L R  
A A

Z tych liter rozsypanych dobrać cztery wyrazy czterogłoskowe na krzyż ułożone. Znaczenie wyrazów: 1. Ptak. 2. Metal. 3. Roślina. 4. Napój.

**ROZWIĄZANIE DO N-ru 42-go.**

**Łamigłówki kryształowej:**

Z  
M A J  
H A L E B  
Z A L E S K I  
P A S F K  
O K A  
I

**Skrzynka do listów.**

Ukrainka na Mazowszu miłą nam bardzo niespodziankę sprawiła liścikiem swoim, wdzięczni też jesteśmy i Poziomce, która ją w zacisznym kąciku odszukała i do pisania pobudziła. List do Poziomki będzie wydrukowany w całości na innym miejscu.

Leśna Boginka zapomniała dodać rozwiązanie do łamigłówek, my na odgadywanie czasu nie mamy.

Pif Puf Paf, dzielna trójka, żwawa do zabawy i do nauki, szarady niezłe układa. Prysłana obecnie bardzo jest dowcipna, ukazała się niezadługo w druku.

Brzydotkę z nad Tamizy raz jeszcze prosimy o cierpliwość; bywają różne powody opóźnienia odpowiedzi na liścik, czasem i na poczcie giną, nigdy jednak, przenigdy brak odpowiedzi nie pochodzi z niedbalstwa lub lekceważenia kochanych korespondentek.

Krakowiance z nad Nidy dziękujemy za ofiarowaną powiastkę, ale tłumaczeń żadnych nie przyjmujemy, mając do tego stałych współpracowników.

Szarża Jutrzenka musi inny pseudonym obmyśleć, bo w tych czasach nagle aż trzy Jutrzenki pojawiły się na redakcyjnym niebie. Upodobanie do historii i powieści historycznych wielce jest chwalebne; a możeby w dziejach dawnych dał się wynaleźć jakiś ładny pseudonym? W Brance litewskiej dużo jest nazw do wyboru.

Wróblek z nad Donu myli się sądząc, że on pierwszy ułożył zagadkę *dyamentową*, bo my oddawna takie podajemy pod nazwą kryształowych.

Nieznamy obaczy zagadkę w druku, jeżeli zechce mieć troszkę cierpliwości.

Stokrotka z nad Granicy trafnie rozwiązała wszystkie łamigłówki. Czemużby liścik Stokrotki nie miał być miły, skoro tak porządnie napisany? Niemile są tylko takie, których wyczytać nie można bez narażenia oczu.

Czterolistnej Koniczyńce i braciszkwowi jej Żubrowi serdecznie dziękujemy w imieniu ubogich dzieci za ciepłe ubrania.

Droga moja Jaskółko z nad Sekwany! Zachęcona twoim serdecznym liścikiem, ośmielam się posłać ci tysiące uścisków z nad brzegów kochanej naszej Wisły. Chciałabym bardzo poznać cię, nieznana lecz droga siostrzyczko; musisz być bardzo dobra kiedy będąc tak oddaloną od kraju, którego wcale nie znasz, kochasz go i przez nasze drogie „Wieczory” łączysz się z „Kochaną panią” i nami wszystkimi. Całuję cię po milion razy i czekam z niecierpliwością odpowiedzi. Cyganeczka z nad Wisły.

Kochana Cyganeczko z nad Wisły! Przeglądając dawne numery „Wieczorów”, spostrzegłam, że przeszłego roku w czasie, gdy byłam bardzo zajęta naukami, zapomniałam odpowiedzieć na jeden z twoich liścików. Ponieważ uważam to za wielką niegrzeczność, więc poprawiam się, nie czekając dłużej i przepraszam cię za moje roztargnienie. W Szarzy odrazu poznałam moją kochaną Cesię z Nałęczowa, a w Śmietance Stellę, o której mi opowiadałyście. Chciałabym spotkać się z wami po tylu latach niewidzenia, tymczasem całuję was, Wiochna z pod Lublina.

Kochana Stokrotko z nad Stochodu! Jeżeli się zgodzisz, to będziem pisywać do siebie przez „Wieczory”. Donoszę ci, że mi na imię Cesia, mam lat 16, mieszkam na wsi, nie daleko Warszawy, uczę się w domu. Donieś mi, moja złota, gdzie mieszkasz, czy przyjeżdżasz kiedy do Warszawy. Odpisz mi, jak możesz najprędzej. Dotąd podpisywałam się „Szarża”, ale chcę zmienić pseudonym. Posyłam ci serdecznego całusa.

Jastrzębiu z nad Rośli! Imiona nasze są: Maryan, Ignacy i Adam. Uczęszczamy do 2-ego gimnazjum i jesteśmy w 4.ój, 3-ój i 2-ój klasie. Donieś nam co więcej o sobie. Pif, Puf, Paf,

Lubym przyjaciółkom: Jaskółce z nad Sekwany, Dzieweczce z nad Wisły i Jesieni przesyła serdeczne pozdrowienia z pod Alp francuzkich, Brzydotka z nad Tamizy.

Kochany Al-chemiku! Dziwi mię to, dlaczego sobie obrałeś taki pseudonym; zadanie twoje bardzo mi się podobało. Chciałabym się z tobą chętnie zapoznać, a na początek szczerzej przyjaźni posyłam ci zadanie. Twój Nieznajomy.

**OGŁOSZENIE.**

Dla ubogiej uczennicy, uczęszczającej na pensję bezpłatnie, potrzebne są bardzo dwie książki: Literatura polska Mecherzyńskiego i Wypisy ruskie Gałachowa 2 tomy. Gdyby kto chciał ofiarować jej te książki, prosimy o złożenie w naszej redakcji.